KRZYŻ A MIECZ.

Pismo literacko-polityczne, wychodzące w Poznaniu co Poniedziałek. Cena kwartalna wynosi 1 tal. Przedpłatę przyjmują wszystkie urzęda pocztowe. Główny debit ma księgarnia W. Stefańskiego w Bazarze. — Korespondencye odbiera Redakcya, plac Wilhelmowski Nr. 2.

№. 2. Dnia 14. Stycznia. **1850.**

POSŁANNICTWO POLSKI.

—❧—

(Dokończenie.)

Dwa ludy wybrał Bóg z pomiędzy wielu innych, i dał im jednaką potęgę ducha, jednaką do czynów pochopność, jednakie lekceważenie życia dla idei; ale zarazem, w miarę właśnie tych przymiotów, dał im obowiązki równe, jednakie a ciężkie, bo kazał im przewodniczyć ludzkości, kazał im prowadzić ją do nieba.

I oto widzimy przez ciąg wieków dwa narody jako elektryczne bieguny, tajemnym łańcuchem z sobą powiązane; myślą jednocześnie, działają jednocześnie drgnienie jednego odbija się w drugim natychmiast. Jeden ku drugiemu ramiona wyciąga, jakby czuli wzajemną siebie potrzebę.

Jednym z tych narodów jest Polska, drugim Francya, a tą sympatyą międzynarodową nie co innego jest, jeno jakieś tajemne przeczuwanie jednakiego posłannictwa.

Są to dwie dźwignie, co miały podważyć świat i pchnąć go wyżéj ku Bogu.

Gdy jednę z tych dźwigni obalono, gdy Polska upadła, Francya ostać się nie mogła, i oto widzimy, że upadła stokroć niżéj od nas, chociaż niby żyje politycznie.

Ten sam potop barbarzyństwa, potop pogaństwa, co nas obalił, potoczył się ku niéj i zalał ją — i duch czarny, duch złego, duch Moskwy, zawładał światem.

Dla tego też, jak wyżéj wykazaliśmy, że bez Polski nie ma zbawienia dla Polaka, tak teraz wołamy z najsilniejszém przekonaniem: bez Polski nie ma zbawienia dla świata!

Jak dziś świat zmoskwiciał, tak zpolszczyć się musi. Polska musi zwyciężyć dzisiejszy świat, jak Chrystus zwyciężył świat rzymski, bo polskość a chrześcianizm to jedno.

A nic bardziéj w téj nas wierze nie umacnia, jak ta szatańska nienawiść, którą dziś świat tchnie ku imieniowi polskiemu; nic téż bardziéj nas cieszyć nie powinno jak taż sama nienawiść, boć to najjawniejszy dowód, że nie przestaliśmy być Polakami, boć to najwidoczniejszy znak, że mimo tak długiego gnicia w grobie, duch nasz białym pozostał, kiedy go czarny nie cierpi; a świat dzisiejszy czarnym, okropnie czarnym, bo moskiewskim jest.

A nienawiść ta, cóż to jest, jeśli nie bojaźń?! Zbrodnia przeczuwa, że ustąpić przed nami musi, jak noc przed słońcem, jak fałsz przed prawdą, jak szatan przed krzyżem; bo w duchu polskim jest prawda, jest żywot, jest droga do Boga, gdyż polskość a chrześcianizm to jedno!

Ale nie zakładajmy bezczynnie rąk w przedwczesnéj chełpliwości; jeszcze nie jesteśmy czystymi, jeszcze miłość nie stopiła nas w jednę bratnią rodzinę, jeszcze nie kochamy się tak, jak Bóg przykazał, bo gdyby tak było nie bylibyśmy niewolnikami.

Nie oglądajmy się na nikogo, nie pocieszajmy się próżną myślą, że czasy się zmienią.

O nie! czasy same się nie zmienią, bo czasy są w piersiach naszych; czasy to dusze nasze, dopóki my sami się nie zmienim, to nic w koło nas się nie zmieni.

Nie oglądajmy się nawet na miłosierdzie boże, nie myślmy, że wymodlimy albo wypościmy Polskę, bo nie każdy wołający Panie! Panie! wejdzie do królestwa niebieskiego. Bóg nie słucha słów, jeno na uczynki patrzy. Słowa choćby najpiękniejsze, niczém są, modlitwa choćby na klęczkach, choćby najdłuższa, choćby na złotéj nawet książce czytana — niczém jest, gdy życie zadaje fałsz słowom, gdy samo życie nie jest modlitwą. Niedość jest być chrześcianinem w kościele, trzeba nim być w każdéj myśli, w każdym uczynku, w ciągu całego życia, wtedy dopiero Bóg zmiłuje się nad nami i pomnoży miłość naszę, a przez to zbliży nam Polskę, ale bez naszéj własnéj zasługi nie ma Polski, bez nas samych Bóg nas nie zbawi.

Nie mówmy: cóż czynić możemy dla Polski, kiedy ręce nasze okute?!

Prawda! ręce nasze okute, karki nasze jarzmem zgniecione, nawet usta nasze zamknięte, ale dusze nasze wolne są, w nich rządzić możemy samowładnie.

Niech tylko z nas każdy duszę własną oczyści, niech ją zapali miłością bożą, niech znienawidzi wszystko co brudne, co czarne, co nikczemne, a więzy nasze same z siebie opadną. Bo przypatrzmy się tylko dobrze a ujrzymy, że wrogi nasze silne są tylko niemocą naszą, że najsilniejszy nasz wróg to nie Teuton ani Moskal, ale zaprawdę to ta rdza, co pokryła nam dusze! ta rdza samolubstwa, co tak nas rozbiła, tak rozdrobniła w jednostki, tak rozerwała daleko pomiędzy sobą, że oto przez lat tyle nie możemy zlać się w jedno ciało, w jedną myśl, w jedną wolę, w jeden czyn godny chrześciańskiego narodu.

Ściskając w treść wszystko cośmy dotąd wyrzekli, nasuwa się nam mimowoli nowe podobieństwo. Cały wszechświat rozciąga się przed nami niby jedno wielkie bojowisko, na którém ludzkość stoczyć ma stanowczy bój o własne zbawienie. Najwyższy wódz ludzkości ustawił w szyku bojowym wszystkie narody niby hufce, każdemu dał osobną, właściwą mu broń, każdemu wytknął osobne stanowisko, którego porzucić mu nie wolno pod karą śmierci, bo każdy hufiec połączony solidarnie z drugim, — ucieczka jednego pociąga za sobą klęskę wszystkich hufców.

Otóż to stanowisko narodu i ta broń, którą walczyć musi, aby cel wspólny wszystkim osiągnąć, nazywamy posłannictwem narodowém.

Myśl posłannictwa Polski jak nić czarodziejska wije się i ciągnie przez całą przestrzeń dziejów naszego narodu. Chwilami ciemna i głęboko gdzieś ukryta, wychodzi znów na jaw w pewnym danym czasie, ale najwidoczniejsza z początku, w środku i u końca.

Z początku, widzimy ją wyraźnie w téj legendzie ludu: że miecz Chrobrego przyniósł mu anioł, jakby na dowód że obowiązkiem Polski jest bój.

W środku widzimy ją najwyraźniéj w słowach Skargi i Birkowskiego.

W końcu uderza nas w wyrazach ostatniego polskiego szlachcica, w głosie Puławskiego gdy mu Moskwa obiecywała, że z Polski ustąpi: „to ja pójdę do Moskwy i tam ją zgniotę.“

Miecz Chrobrego nie przepadł, chociaż nie ma go w żadnym z królewskich kramów co się naszą własnością zbogaciły; on tylko przemienił się chwilowo, stosownie do boju.

Posłannictwo Polski nie przepadło, i owszem rozszerzyło się.

Posłannictwem naszém dzisiejszém jest jeszcze bój ale bój moralny, bój duchowy, bój który każdy z nas musi najprzód stoczyć w własnéj piersi dopóki jéj nie oczyści, dopóki jéj nie uzacni, dopóki z niéj nie wydobędzie ukrytego w niéj miecza Chrobrego, to jest polskiego ducha, czystego i hartownego jak stal.

Tym to mieczem jedynie rozbijemy piekielne bramy rozdzielające nas od Polski, i wejdziem do Polski, i zbawim świat.

Wrogowie nasi także się nie zmienili: są to ci sami co pierwéj poganie, tylko jeszcze zuchwalsi bo silni naszą niemocą, tylko jeszcze liczniejsi bo oto cały świat im hołduje, tylko jeszcze bezczelniejsi bo już nie ma nikogo coby im wzbraniał najczarniejszych zbrodni pieczętować Boga imieniem.

Rzecz szczególna zaprawdę! i godna najgłębszego zastanowienia. Po tylowiekowych bezdrożach nagle oto znajdujemy się, właśnie przez samo to zabójstwo którego się na nas dopuszczono, znajdujemy się, powtarzam, na ścieżce z której zeszliśmy wiedzeni błędném światłem pożyczoném od drugich, a znajdujemy się właśnie w chwili, gdy zrozumieliśmy co to jest chrześcianizm.

Pozbawieni gwałtem politycznego życia, musieliśmy żyć i cierpieć w samych sobie, i oto po długim rachunku sumienia opamiętywamy się nakoniec, spostrzegamy że oto po prostu zboczyliśmy z naszego wytkniętego nam gościńca, a mamy już pochodnię jasną, bo myśl z siebie samych wydobytą, nie narzuconą ale przetrawioną w głębi narodowego polskiego sumienia, myśl, którą w te słowa ściskamy.

Narodowości są to planety moralne. — Jak każde ciało niebieskie ma swój własny cel i osobną, jemu tylko właściwą drogę, tak każdy naród ma osobne, naznaczone mu przez Boga posłannictwo.

Jak ciała niebieskie ciążą do słońca, tak narodowości ciążyć muszą do Boga; jak ciało niebieskie odbija światło słońca, tak naród musi odbijać w sobie myśl bożą.

Planeta oddalony od słońca blednie i niknie; naród oddalający się od Boga, ciemnieje i upada duchowo.

Porwani pozorną cywilizacyą Zachodu opuściliśmy naszą słoneczną drogę, kołowaliśmy wraz z Zachodem zdala od słońca; dla tego też ledwie kraniec naszego narodu świeci w ciemnéj przestrzeni dziejów Polski, cała zaś powierzchnia narodu była ciemna i zimna: nie żyła, bo nie świeciła.

Wirując po drogach obcych planet, naruszyliśmy ówczesny porządek ciał niebieskich, to też nareszcie obce te planety uderzyły na nas w pędzie swoim, bośmy im zawadzali, i wyrzuciły nas z kolei swojéj i odepchnęły na toż samo miejsce, na tęż samą drogę, z której nas porwały przed wieki.

Ogłuszeni gwałtownym upadkiem, długo nie mogliśmy przyjść do siebie, długo jeszcze wyciągaliśmy żebrzące dłonie do obcych nam narodowości, aby nam

dozwoliły biedz ich biegiem, ale nadaremnie. Aż nakoniec zrozumieliśmy w męczeństwie wolę Opatrzności, spostrzegliśmy, przypatrzywszy się biegowi innych narodów, że byliśmy i jesteśmy jeszcze najbliżéj słońca, najbliżéj Boga, że nam nie wolno cudzém życiem żyć, cudzym biegiem gnać, że musimy całą powierzchnią narodu stanąć w obec Boga, aby ciągle jego myślą świecić, i że nakoniec dopóty nie zaczniemy własnego biegu, własnego życia, aż cały naród stopi się w jedną myśl, obleje się cały jednėm światłem, ożywi się cały jednym duchem.

A tą myślą jest zbawienie duszy, a tém światłem jest chrześcianizm, a tym duchem jest miłość Boga: w rodzinie, w ojczyznie i w ludzkości.

O! narodzie polski! byłeś wielki, silny i potężny; chmury pogan pierzchały przed tobą; ludy lgnęły do ciebie i w tobie szukały szczęścia, garnęły się pod twoję opiekę. Byłeś świetny i niezwyciężony póki sztandarem twoim była wiara święta, póki szedłeś ku prawdzie, ku miłości, ku Bogu.

O narodzie polski! jesteś dzisiaj nędznym niewolnikiem — poganie urągają ci, depcą i mordują cię bezkarnie — bo rzuciłeś znak twój — zamknąłeś ewangelią w murach kościoła — i oto ciemność zalała drogi twoje — zboczyłeś i spełniły się na tobie przepowiednie proroków twoich — zapadłeś w przepaść niewoli.

O narodzie polski! roztwórz co prędzéj mury kościoła — wyprowadź słowo boże na miasta i pola, niech przeniknie w pałace, dwory i chaty, niech wejdzie, niech wsiąknie w każdy twój by najmniejszy czyn, w każdą twoję by najmniejszą myśl, niech się stanie jedynym wzorem, jedyném prawem twojém; bo ewangelia to jest dusza twoja, to siła twoja, to zmartwychwstanie twoje: bez niéj jako bez duszy jesteś tylko ciałem niewolnika.

O narodzie polski! niech cię nie smuci ani dziwi szatański śmiech katów twoich, judaszów i faryzeuszów nazywających szaleństwem twoję wiarę w zmartwychwstanie ojczyzny. Oni przyszłą naszą świętą Polskę nazywają istotą urojoną, bo jéj nie widzą i widzieć nie mogą, gdyż ślepymi poganami są. Nie widzą jéj i nie zobaczą, aż gdy przyjdzie z mieczem archanioła i zagrzmi głosem sądnym: Spełniły się czasy pogaństwa! Niechże poganie dopełniają miary nieprawości i zbrodni swoich. A ty narodzie polski! obacz się, przypomniéj sobie i wierz, że ewangelia, że słowo boże jest duszą twoją, jedyném prawem i jedyną drogą twoją,

Bo Polska, to jest dom boży —
Tylko miłość go otworzy;
Bo taż sama wiedzie droga
Do Polski, co i do Boga!

WSTĘP
do historyi poezyi polskiéj.

(Wyjątek z wyjść mającego wkrótce dzieła.)

Jest słodycz na spodzie czary,
Lecz jéj się dopić potrzeba, —
Przez łzy i krwawe ofiary
Trzeba się dobijać nieba,
Jak słodyczy na dnie czary!

Wasilewski Edmund.

Wiek ośmnasty zamknął się mordem okropnym, spełnionym na całym naszym narodzie — historya położyła na nim pieczęć krwawo-żałobną.

Z grobu budzimy się do życia — życia i tylko życia nam trzeba! Wszelka więc nauka nasza dzisiejsza powinna mieć tyle życia w sobie, żeby aż wysadziła w górę kamień niewoli przygniatający nas i resztę naszych braci; powinna mieć tyle słonecznego światła, aby nam aż w grobie się rozwidniło — i tyle mocy, aby nas do siebie porwała.

[Nic dziś nie widzim, i nie chcemy i nie możemy widzieć przed sobą, jeno niepodległość i wolność całéj ojczyzny, przewidujemy zmartwychwstanie całéj Polski. — Wszystko, co nie ma związku z tą myślą narodową, jest dla nas zimne i martwe.] Otóż to przewidywanie ogólnego narodowego odżycia powinno się dziś odbić w literaturze naszéj, albo raczéj w jéj wykładzie. Wszystkie siły żywotne jak najgłębiéj do dziś tajone, powinny dziś wystąpić na jaw, aby porwać za sobą wszystkie serca i popchnąć tam, gdzie potrzeba. Nauka literatury nie może już być pisaną z książek samych, nie może być zimną, szkolną gadaniną — powinna i musi być wyciągnięta z życia narodowego — powinna i musi pokruszyć wszelkie więzy zwyczajowe i cenzurowe, a wystrzelić promieniami najczystszéj prawdy, strumieniami szeropolskiego ducha!

Cały ten boży świat jest podobny do lutni, każdy naród w téj lutni jest struną — a każda struna ma osobne, właściwe sobie przeznaczenie, właściwy dźwięk, właściwy czas, w którym ma się odezwać. Choćby najdłuższa była chwila milczenia téj struny, zabrzmieć musi, bo ręka mistrza wie o niéj, że jest, i użyje jéj, uderzy w nią koniecznie, bo ją nawiązała. My jesteśmy tą struną długo już milczącą w ogólnéj harmonii świata i właśnie z tego długiego milczenia przekonani jesteśmy, że lada chwila Bóg nas powoła — baczmyż więc, aby ton, który mamy wydać, był czysty, a nie fałszywy. Jako Polak, więc z urodzenia rolnik, dla szerszego wyjaśnienia téj myśli, do rolniczego uciekam się podobieństwa.

Gospodarz rozumny poznaje najprzód naturę roli swojéj, poznaje wszystkie jéj części składowe, aby szkodliwe

wytępić, zdrowe zaś pomnożyć i rozwinąć — od tego bowiem jego plon zależy.

Otóż i nam, aby się doczekać plonu świętego niepodległości i wolności narodowéj, trzeba poznać pierwiastki w skład dzisiejszy naszéj roli wchodzące, aby części stęchlizną i wilgocią grobową zepsute, wytępić — inne znowu naleciałe, obce i szkodliwe naszéj naturze, wyrzucić — inne nakoniec zdrowe jeszcze dzięki Bogu, a tworzące treść i zasadę naszéj pszenicznéj gleby, wydobyć na jaw, na rosę, na słońce.

Przedewszystkiém więc trzeba nam koniecznie spojrzeć w głąb siebie, poznać dokładnie choroby wprawiające nas w ten paraliż niewoli, potém dopiero ogniem miłości braterskiéj wypalim tę gangrenę teutońsko-moskiewską trawiącą nas od lat tyla — oczyścim naszego polskiego ducha, wzmocnimy go zdrowym, jemu właściwym pokarmem — wtedy wstaniemy o własnéj sile, bez pomocy cudzych, bez jałmużn żadnych — staniemy silni, potężni, szczęśliwi!

Musimy więc sięgnąć myślą aż do źródła naszéj niemocy, cofnąć się aż do początku naszéj historyi, przypatrzyć się ojczyznie naszéj jeszcze w łonie Słowiańszczyzny. Widzimy ją pogańską, a jednak wierzącą w jedynego Boga, twórcę wszystkiego.

Widzimy ją poczciwą, szczerą, gościnną, lubiącą wolność nad wszystko. Nie ma tam ani panów, ani królów, jest tam dostatek, spokój i szczęście. Aż oto cesarz rzymski, pan Galii i Germanii, Frank z rodu Karolingów, Karol Wielki, pobiwszy Sasów, napada i po długich rozbojach ujarzmia część Słowiańszczyzny dotykającą jego nowych granic.

Aby ujść zagłady od Franków i Niemców, część nadwiślańska Słowiańszczyzny, władzę we wszystkich gminach ją składających rozlaną, dla dania silniejszego odporu wrogom, oddaje w ręce jednego władzcy — zaszczepia sobie ospę franko-niemiecką, źródło wszystkich swoich późniejszych chorób i nazywa ją królewszczyzną. Naród w pierwszych chwilach swego uorganizowania, więc przy całéj swojéj dziecinnéj prostocie, nie wie o tém, że połknął truciznę, a że go wybawiła od jarzma Niemców, uważa ją za zbawienne i jedyne lekarstwo. Królewszczyzna koniecznêm następstwem zrodziła szlachetczyznę. I oto na powierzchni narodu polskiego wyrastają dwa narośla, dwa jakieś nieznane mu dotąd polipy, wciągające w siebie całą krajową siłę i życie. Naród-dziecko pomału wchodzi w lata, trucizny przyjęte zaczynają objawiać zgubne swoje skutki, rodzi się z nich nowa rzeczywista choroba: magnaterya i jezuityzm. Każda z tych chorób wgłębia się coraz mocniéj, nurtuje coraz głębiéj, niemoc okropna ogarnia cały polityczny organizm, cząstki Polski zaczynają odpadać kawałkami, a ona sama na pozór zupełnie zdrowa, nawet silna, bo w téjże saméj chwili ocala Niemców, jednakże niknie coraz bardziéj. Szlachta widzi to, ale nie chcąc widzieć, upaja się na frasunek z Sasami. Król polski sprowadza Moskali, zmawia się z Prusakiem na zgubę Polski, magnaterya znowu na własny rachunek licytuje Polskę Moskwie i Niemcom, kto da więcéj, nakoniec ostatni król polski bierze pensyą od carzycy moskiewskiéj. Taka sromota wytrzeźwia przecie szlachtę, i wydobywa i obudza w niéj wszystko, co jeszcze w niéj polskiego zostało: bije się jak lew i ginie jak lew. Polska królewska, Polska magnacka, Polska szlachecka, przepadła na wieki wieków! Od królów Bóg sam nas uwolnił, bo troista rasa naszych królów wymarła ze szczętem, magnaterya zgniła aż do szpiku przez własną podłość, szlachta nakoniec, co jeszcze zachowała w żyłach kroplę krwi polskiéj, zgasła przynajmniéj po polsku, to jest na polu bitwy, w świetnych bojach barskich, w legionach i w powstaniu 31. r., zresztą przywileje swoje spaliła na ołtarzu ojczyzny.

Cóż więc zostało z dawnéj Polski? — oto prawdziwa jéj treść, istota i jądro narodu — lud, czyli Polska gminna, ale w niewoli! Zaledwie wepchnięto nas do grobu, natychmiast zaczęliśmy pragnąć, aby się z niego wydostać, szukaliśmy lekarstwa na niemoc naszą, ale nie w samych sobie, broń Boże! Nas nauczono, że tylko cudzy, a mianowicie francuzki rozum nas zbawi — a więc wypisaliśmy lekarstwa z Francyi francmasoneryą, z Włoch carbonarizm, ze Szkocyi nawet templaryuszostwo. Zapłaciliśmy za nie okropnie drogo, bo świętą krwią Łukasińskiego i mękami tylu zacnych braci, ale lekarstwo było bez skutku — naród nie wstał. Później utworzono mięszaninę tych wszystkich lekarstw razem, nadano jéj greckie nazwisko filaretyzmu i filomatyzmu — naród nie wstał!

Ale lekarstwa te, choć bezskuteczne, bo nie odpowiedziały swemu głównemu celowi, nie wywiodły kraju z niemocy, miały przynajmniéj tę zasługę, że prócz formy nic cudzego w nas nie wprowadziły, i że przez działalność swoję utrzymywały naród w ciągłéj wierze, która w r. 31. tworzy cuda, zapowiada zbawienie kraju. Lecz naczelnicy rządu przestraszeni ogromem téj siły, paraliżują ją wymysłem szatańskim od Filipa francuzkiego wziętym, wymysłem monarchii konstytucyjnéj.

Powstanie upada, ale wiara żyje, nawet wzmaga się. Do r. 31. wierzyliśmy nietylko że leki francuzkie podniosą nas, ale jeszcze, że jak tylko wstaniem, to sami lekarze osobiście przybiegną i ratować nas będą — przytrzymywać, abyśmy powtórnie nie upadli. Po r. 31. już jesteśmy rzeczywiście silniejsi, bo pola Stoczka, Wawru, Igań, nawet Woli pokazały nam, że mamy siłę — więc już wyrozumialsi, bo ufniejsi w siebie powiadamy: że wprawdzie lekarze sami osobiście nie przyjdą do nas,

bo trochę za daleko, bo zajęci są bardzo u siebie, bo nakoniec sami coś trochę nie dobrze się mają; ale za to przysyłają nam lekarstwo niewątpliwe, cudowne, nad które nie ma nic lepszego. I jakież to lekarstwo? Już to nie forma, jak dotychczas bywało, w którą wlewaliśmy naszego ducha, ale zasada gotowa, zasada społeczna, szczera trucizna, jadowitsza nawet od choroby, sprawiającéj naszą niemoc! szczera trucizna, bo zabijająca wszystko, co w nas jest boskiego — a rozwijająca wszystko, co w nas jest zwierzęce. A nazwisko téj trucizny jest egoizm racyonalny, to jest samolubstwo wyrozumowane!

Wprawdzie późniéj zmieniono co prędzéj to nazwisko, bo było za jasne, za nadto szczerze rzecz malujące i nazwano ten jad kilkakroć inaczéj, złocono go nawet i dotąd złocą po wierzchu chrześcianizmem, ale istota téj trucizny została taż sama do dziś dnia: egoizm! — interes! — zwierzęce, materyalne samolubstwo, jeszcze do tego wyrozumowane! Interes! wyraz nie polski, bo i myśl nie polska. Interes! doskonała handlowa spekulacya, spółka, w któréj wszyscy akcyonaryusze równie zyskują, ale pieniądze tylko, byt materyalny wyborny — dla duszy zaś w téj spółce nie ma nic! nie ma nawet mowy o niéj — bo nie ma Boga!

A my znowu wierzymy! znowu połykamy tę nową truciznę, płacimy za nią wszystko, co mamy, strumienie łez i krwi, a skutku nie ma — Polska w grobie! — I dziękujmy Bogu, że się lekarstwo nie udało, bo gdybyśmy przez nie powstali, bylibyśmy wstali już nie Polakami, ale Francuzami lub Teutonami: to jest narodem co się wyrzekł ducha dla ciała, nieba dla ziemi, Boga dla pieniędzy.

Rzućcie okiem na wynalazców tego lekarstwa, na Francuzów patrzcie, jakie okropne skutki tych leków. Oto mordują się sami między sobą, wyganiają się nawzajem z ojczyzny, brat brata więzi, a krzyczy: wolność! brat brata wygania, a krzyczy: równość! brat brata zarzyna, a krzyczy: braterstwo! Dla czegóżto? bo oni, jeszcze raz powtarzam, pokradli słowa Chrystusowe — i zakryli niemi brzydotę i zgniliznę swojéj fałszywéj nauki!

A na miłość boską! czas już przecie spostrzedz, że sami siebie oszukujemy. Czas porzucić najgłupsze w świecie i najszkodliwsze przechwałki, że jesteśmy Francuzami północy. Czas już przecie ujrzeć i przyznać, że mamy swój własny polski rozum. Czas po tylu beleśnych zawodach przekonać się, że wszystkie lekarstwa zagraniczne stworzyły w nas nowe tylko choroby, którychbyśmy uniknęli, gdybyśmy byli ich nie połykali. Czas nareszcie pomyślić, że oto od lat kilkunastu od gangreny niemieckiéj i moskiewskiéj bronimy się trucizną francuzką, która chwilowo zdaje nam się pomocą, ale wkrótce, jeśli jéj nie wyrzucim z siebie, przetrawi wszystko, co w nas jest polskiego.

Proszę jednak uważać, że potępiam tylko lekarstwa, ale nie tych, co je nam sprowadzili, bo zacne i święte były ich cele i chęci, które zawsze opłacali męczeństwem lub śmiercią; imiona ich zapisaliśmy w sercach, a w historyi narodu wiecznie promienną świecić będą aureolą. Potępiając ich, potępialibyśmy cnotę, potępialibyśmy wreszcie samych siebie, bo któż z nas wraz z nimi nie wierzył, nie przysięgał się, nie cierpiał? Im wszystkim należy się wieczna wdzięczność narodu, bo oni to wciąż zażywiali nasze nadzieje a nakoniec zostawili nam ogromną, pełną życia i zbawienia naukę, że obce leki nas nie wskrzeszą, że w nas samych jedynie jest środek obudzenia nas z letargu, bo jest siła duchowa tylą zawodami nietylko niezachwiana, ale coraz bardziéj wzrastająca, to jest wiara w Polskę tak potężna, jak wiara w Boga!

Oni nam dali krew swoję, abyśmy nią zmyli ślepotę z oczu naszych. Nam więc tylko samym należeć się będzie potępienie, jeżeli z téj ich testamentowéj darowizny korzystać nie będziemy.

Ze wszystkich satrapów naszych, pierwsi Moskale spostrzegli to, czego żaden z francuzkich ani niemieckich dziennikarzy, publicystów i filozofów nie spostrzegł: że Polacy w Polsce kochają Boga, że Polacy w Polsce szukają drogi do Boga; dla tegoż służalcy carscy prześladują tych najsilniéj, w kim ta myśl mocniéj się odbija, w czyjém sercu Bóg jest widoczniejszy.

Otóż jest cała tajemnica potęgi i nieśmiertelności polskiego ducha! Polak ma Boga w sercu, Polak boi się Boga!

Boj się Boga! a nie maszże ty Boga w sercu? poganinie! woła prosty rolnik polski na złoczyńcę: są to u niego wyrazy najwyższego oburzenia.

Polak boi się Boga, to się znaczy, że kocha Boga, więc lęka się go obrazić; to się znaczy, że wierzy mocno, że kiedyś stanie przed sędzią, który każdy jego uczynek dobry i zły zapisal!

Polak ma Boga w sercu, dla tegoż w samotni więzienia, w tym grobie z żelazném wiekiem oddzielającém go od reszty świata, Polak prawdziwy, Polak duchem, nie upada jak inni, bo wie, że Bóg jest z nim.

Polak ma Boga w sercu, dla tego też wszystko, co się kończy na ziemi, jego nie zaspokoi, on przez uczucie miłości ojczyzny doszedł do miłości Boga, i dla tego wiara w ojczyznę jest u niego wiarą w Boga — drogą do Boga! On nie pojmuje ojczyzny bez nieba, bo nie pojmuje miłości bez Boga, a cnoty bez duszy nieśmiertelnéj.

Polak przez bóle piekielne na ziemi, przez uczucia boskie na ziemi, doszedł do takich jasnowidzeń prawdy, do jakich Niemcy wiekami całemi swoich kategorycznych

rozumowań nigdy nie dojdą; uchwycił się tych prawd boskich w błyskawicach męczeńskiego natchnienia objawionych, i dla tego jest niezwyciężonym, i dla tego nikt go ziemią nie nasyci, do ziemi nikt nie przykuje, od nieba nikt go nie odwróci!

(Dokończenie nastąpi.)

PRZEGLĄD LITERACKI.

Pierwsze odrodzenie się Polski 1279 — 1333.

szkic historyczny, napisał K. Szajnocha. Lwów, z drukarni zakładu narodowego Ossolińskich — 1849.

Obraz ten kreśli dzieje ojczyste u schyłku 13. i w początkach 14. stulecia, w téj przechodowéj porze między Bolesławem Wstydliwym a Kazimirzem Wielkim. Przedstawia on uderzające i spaniałe widowisko podźwigania się Polski z ostatecznego poniżenia na zewnątrz, a bezrządu na wewnątrz: widowisko kilkudziesięcioletniéj, śmiertelnéj, w najlepszym razie, dzisiejszym losem Szlązka całemu krajowi zagrażającéj, lecz w końcu świetném zwycięztwem uwieńczonéj walki.

„Bolesławowie — mówi Szajnocha — utwierdzili w kraju rządy królewskie i ugruntowali chrześciaństwo. Jedno i drugie pociągało konieczne za sobą następstwa. Z chrześciaństwem zachodniém gruntował się w Polsce wpływ Zachodu, który mimo swéj natury moralnéj przez naprowadzane do kraju mnóstwo duchownych cudzoziemców, przepisów, stawał się coraz bardziéj materyalnym, a mianowicie przygotowywał wygórowanie obcéj charakterowi narodowemu władzy kapłańskiéj — dążności teokratycznéj.”

„Z rządem królewskim zaszczepiła się w rodzinie panującéj nieszczęsna dążność do samowładztwa. Obie te dążności, wręcz sobie przeciwne, w śmiertelne weszły zapasy.”

„Władza królewska napiętnowana przez Ś. St. znamieniem ciemięztwa ludu, poniżona wygnaniem Śmiałego i niedołężnemi rządami jego następcy, rozchwiała się w swoich posadach. Wtomiast wzniosła się władza duchowna, i uświetniona w oczach narodu trojakim blaskiem: męczeństwa, opiekuństwa ludu i zwycięztwa nad tronem, objęła ster rozerwanego narodu. Rządy duchowne wywarły także niejakie dobroczynne skutki, lecz dawna wielkość polityczna, dawna zamożność krajowa poniosły, długo niepowetowany uszczerbek. Ocknęli się przecież wreszcie potomkowie Chrobrego, wszczął się pod ich przewodem przeszło półwiekowy bój o dawną wielkość Polski, i tego to właśnie boju koleje mamy tu opowiedzieć.”

Otwiera tę walkę Leszek Czarny i upada pod jéj ogromem — wszczyna ją na nowo Przemysław również bezowocnie — wznawia ją nakoniec po kilka razy chrobry Łokietek — i nakoniec zwycięża.

Cały więc ten czas zamknięty jest ściśle ramionami trzech Piastów, trzech braci, stanowi jeden doskonale zamknięty drammat, podzielony przez Szajnochę na pięć podziałów — stosownie do wzmożenia się lub upadku narodowéj sprawy.

Najprzód wymienia autor wszystkich wrogów po szczególe tak wewnętrznych, jak zewnętrznych, maluje nam ducha owego czasu, owéj przechodniéj, przedrodzajnéj, a więc w dziwne przeciwieństwa okwitéj epoki, wylicza wszystkie pierwiastki przychylne i nieprzychylne, z których zamętu ma wypłynąć nowy stan rzeczy, opisuje kanonizacyą Śgo Stanisława, jako czyn, od którego datuje pomyślniejsza dla narodu doba. Po takiém przygotowaniu stawia przed nami pierwszego owych czasów bohatera, Leszka Czarnego, i trudno nie dostrzedz w nim istotnie duchowego z Chrobrym podobieństwa. Upadek tego rycerskiego zapaśnika zostawia narodowi wielką naukę, że zacnego celu zacnemi tylko środkami dobijać się wolno. On oparł się na cudzoziemczyznie, na niemczyznie, i podpora skruszyła się, celu nie dopiął.

Po Czarnym ukazuje nam autor ulubieńca Niemców krakowskich, zniemczałego księcia wrocławskiego, Henryka Łagodnego (probus), pokornego hołdownika cesarstwa, po mimo poetyckiéj sentymentalności zdradzieckiego łupiezcy, i daremne jego zabiegi o tytuł króla polskiego. W przerażającém świetle maluje on zagubę, jaką nam groziła wówczas rozmnożona po miastach cudzoziemczyzna, wzywająca znów do siebie drugiego obcego pana, w osobie Wacława czeskiego.

Następnie rozwija przed nami autor chwalebne usiłowania Przemysława Pogrobowca, chwilowy błysk lepszego losu, i tém cięższy po téj nadziei upadek narodowego ducha, morderstwem tegoż króla spowodowany. „Ale dzieje narodów są czémś więcej niż dziełem samychże ludzi. Mimo upadku ludzi, nie upada naród do szczętu; — wkrótce wschodzi mu jaśniejsze, niż się można było spodziewać, słońce, — zbawienie.”

Nakoniec po malowidle Wacława i rządów jego przystępuje autor do swojego ulubieńca — do czasów Łokietkowych.

Odtąd rzecz sama i sposób wystawienia, słowa autora, coraz bardziéj rozgrzewają się, rosną, promienieją, — znać, że miłość wodzi już rękę pisarza. Zdaje się, że wraz ze zwycięzcą owczesnym i sam autor wydarł się z nawału przeszkód, jak tamten z nawału wrogów, i oto już roztwiera się przed nim coraz szersze, coraz piękniejsze pole, lubuje też sobie w tym widoku i już jednym, głębokim, potężnym rzutem oka ogarnia całe czasy piastowskie.

Śliczna! bo to — ogromna, choć mała, ta postać Łokietkowa. Jest to drugi Chrobry, a może jeszcze więcéj jak Chrobry. Tamtemu los wszędzie był wiernym sługą, ten zaś musi zmuszać losy, aby mu były posłuszne. Tamten wprawdzie wszystko tworzy, surowe materyały ociosuje szablicą na budynek narodowy — ten ze skamieniałych już rumowisk musi rozbijać i wymiatać jedne co mu wnętrze tego budynku zawaliły, musi podnosić i wiązać drugie, a wiązać nie złotem, jak Chrobry, ale tylko siłą swéj duszy. Wygnany z własnéj zagrody, szczwany obławą czeską, bez chwili spoczynku, posłaniem mu ziemia, kryjówką szuwary, przyjacielem miecz przyrosły do dłoni. Oto w pielgrzymich szatach stoi u stóp Watykanu, oczyszcza duszę własną z grzechów — i prosi nieba nie za sobą, ale za Polskę.

W drugim roku wygnania już, dyszący zemstą zjawia się w górach karpackich i wzywa naród do powstania, ale napróżno, — „bo naród podupadłszy w przeszłéj porze na duchu, jeszcze się z tego moralnego upadku nie podźwignął.” Załogi czeskie zdały mu się zbyt mocne, — rządy czeskie dość łagodne. Możniejsi pragnęli tylko spokoju — a Łokietek zagrażał spokojowi, więc był im wrogiem, był im nieprzyjacielem ojczyzny.

Ten to moralny upadek boleśniejszym był stokroć Łokietkowi nad wszystkie ciosy nieprzyjaciół. „Do przemocy nieprzyjacielskiego wroga przybyła niczém nieprzebłagana niechęć, niczém nieprzełamana gnuśność własnego narodu. Obca tylko wojna z Wacławem mogła jakąkolwiek wróżyć nadzieję. I owoż wojny! wojny! powszechnéj europejskiéj wojny wyglądał Łokiétek z tęschnotą na wygnaniu, obyczajem wygnańców wszystkich czasów i ludów, aż wreszcie wybuchła wojna.”....

Dziś Łokietkiem — jest cały naród nasz — i my, jak on u stóp Watykanu, wołamy już dawno do nieba — Panie! Polskę nam wróć, a snać jeszcze nie oczyściliśmy się tak jak on, nie zmyliśmy grzechów naszych tak jak on, bo już byłby nas Bóg wysłuchał, tak jak jego wysłuchał.

Epilog, którym Szajnocha zamknął to swoje nowe dzieło jest tak piękny, że zaledwie oprzeć się możemy pokusie umieszczenia go choć w części. Ale jest to tak harmonijna całość, że jéj przecinać nie wolno. Jest to pogląd na czasy piastowskie. Pogląd ten przekonywa nas, że nakoniec mamy takiego historyka, za jakim wzdychał Mochnacki, — jakiego koniecznie było nam potrzeba, prawdziwego historyka — bo historyka poetę.

Wielka i wielka szkoda, że autor nie zapełnił przerwy między pierwszém a drugiém swojém dziełem. Mimowoli przychodzi nam na myśl pytanie, dla czego to uczynił, i zdaje nam się, że nie będziem daleko od prawdy, gdy powiemy: że Szajnosze pilno było wystawić przed narodem obraz bardzo podobny dzisiejszemu obliczu Polski — pilno mu było, bo chciał w samą porę nauczyć braci, że nigdy nie godzi się narodowi wątpić ani rozpaczać, że najsroższą plagą, najsroższym wrogiem narodu jest zwątpienie o własnych siłach. Chciał powiedzieć: oto patrzcie, byliśmy w tak okropnéj toni, tyle wrogów mieliśmy przeciw sobie, zewnętrznych i wewnętrznych, a jednak duch narodu wszystko zwyciężył. Wrogowie, co nas dziś gnębią, są to ciż sami Russo-Mongołowie, pod których żelazem niestało już w naszéj Polsce nareszcie jedynéj piędzi, którąby jak owa garść ziemi sędomirskiéj, ściśnięta według dawnéj legendy ręką papieża, nie pociekła krwią męczeńską.

Są to ciż sami Krzyżacy, tylko już rozkapturzeni, ci sami Cesarscy-Niemcy. Są to ciż sami we wnętrzu kraju konserwatyści, jak owe stronnictwo czeskiego Wacława, — strojący się w szaty patryotów, co każde czysto narodowe wysilenie nazywają szaleństwem, jak dawniéj każdy świetny a daremny zamach Łokietka — ciż sami nakoniec wewnątrz nas jawni i tajemni zdrajcy, duszą i ciałem zaprzedani wrogom, jak wówczas zniemczeni książęta szląscy.

W jędrnych a jaskrawych barwach przedstawia nam autor charakterystykę tych braci odrodnych. Szkaradna jest — i nie dziw! Kto się wyparł ojczyzny, kto swój własny interes stawia nad jéj dobro, ten zaiste jest potworem ohydniejszym od najwścieklejszego, ale naturalnego wroga.

Jesteśmy prawie pewni, że taki, a nie inny był cel Szajnochy, taki powód do obrania tego a nie wcześniejszego peryodu w historyi naszéj. Naprowadzają nas na to przekonanie własne w przedmowie słowa autora: „Taka nauka przeszłości winna wypogodzić nasz mglawy pogląd na przyszłość, utwierdzić zachwianą wiarę, pocieszyć boleść, i w téj też myśli stawiamy obraz historyczny przed publicznością.” Niech jednak nikt nie myśli, że do tego celu naginał historyą, o! nie. Powiedział on wszędzie najczystszą prawdę, żadnego zdania nie zostawił bez niezbitego dowodu. Gdy obala jaką mylną a dotąd utrzymaną opinią, jak np. co do Łagodnego Henryka, to dowodzi i pokazuje nam za co to i kto to nazywa go: der milde Furste. Gdy mówi o spodziewanym wówczas zbawcy w osobie Czeskiego Wacława — i o niby zbawienności jego rządów, wytyka nam palcem owo stronnictwo, co tego fałszywego Messyasza ulepiło — „stronnictwo zwątpienia we własne siły, stronnictwo małoduszności i niewoli, stronnictwo zapominające, iż większém jeszcze od saméj niewoli nieszczęściem jest upatrywanie jakiejkolwiek korzyści, jakiegokolwiek dobra w niewoli.”

O! bodajby te słowa autora tak świętą prawdę w sobie mieszczące, rozległy się wraz z całym tym obrazem pierwszego odrodzenia się Polski, po całéj naszéj ziemi! — bo są na czasie, ogromnie na czasie!

Gdyby które z naszych wyłącznie dla ludu poświęconych pism czasowych zastosowało ten obraz do pojęcia ludu w zmniejszonych rozmiarach, ale w téj saméj prawdzie, w téj saméj sile uczucia, miałoby wielką przed Polską zasługę.

NOWE DZIEŁA.

W r. 1849.

W KRAKOWIE. *Assarmot zabawa historyczna dla dzieci*, przez autorkę pamiątki po dobréj matce — wydanie drugie poprawne,

Albertrandego, *Panowanie Henryka Walezyusza i Stefana Batorego.* — Nakładem i drukiem Józefa Czecha.

W KIJOWIE. *Lewiatan.* — *Gwiazda.* — *Rubon* (pismo zbiorowe, serya V.) *Ideały i karykatury*,

W POZNANIU. *Pieśń* — druk i nakład W. Stefańskiego. —

Pisma pomniejsze Karóla Libelta — druk Kamieńskiego.

Porafiańszczyzna — przez Leszka — Tom IIgi nakład i druk Żupańskiego.

Pieśni spółecznéj 4 stron — napisał Cypryan Kamil Norwid — druk i nakład W. Stefańskiego.

Historya powszechna Eulog. Zakrzewskiego.

Wspomnienia missyjne.

Listy z zakonu.

Niemce przez Włodzimirza Budzyńskiego.

W GNIEŹNIE. *Siedem kazań o męce Pana naszego Jezusa Chrystusa* przez ks. Jeremiasza Smętosza.

W CHEŁMNIE. *Książka dla ludu polskiego zawierająca w sobie różne rzeczy dla nauki i zabawy* — ułożona przez Ignacego Łyskowskiego.

W. r. 1850. w Poznaniu.

Żywot człowieka poczciwego na wzór zwierciadła Mikołaja Reja, przez Ewarysta Estkowskiego — za staraniem i nakładem głównéj dyrekcyi Ligi polskiéj. — Zwierciadło pierwsze czyli część pierwsza — druk Stefańskiego (książka ludowa).

WYKAZ PISM

wychodzących

I. w wielkiém Księstwie Poznańskiém.

1. *Dziennik Polski*, pismo poświęcone polityce i sprawie narodowéj na zasadzie wolności, równości i braterstwa, redagowany przez Karola Libelta, wychodzi w Poznaniu.
2. *Gazeta Polska*, (pismo polityczne codzienne), redakcyi H. Cegielskiego, w Poznaniu.
3. *Gazeta Wielkiego Księstwa Poznańskiego* (codzienna), redakcyi N. Kamieńskiego w Poznaniu.
4. *Gazeta Wielko-polska niedzielna*, redakcyi A. Wojkowskiego, w Poznaniu.
5. *Wielkopolanin*, (pismo ludowe wychodzące dwa razy na tydzień) pod odpowiedzialnością W. Stefańskiego, w Poznaniu.
6. *Wiarus*, (pismo ludowe wychodzące dwa razy na tydzień) redagowany przez ks. Prusinowskiego, w Poznaniu.
7. *Przegląd Poznański*, pismo miesięczne, pod redakcyą M. Mycielskiego, w Poznaniu.
8. *Szkoła Polska*, pismo miesięczne, poświęcone pedagogice narodowéj, redagowane przez E. Estkowskiego, w Poznaniu.
6. *Ziemianin*, pismo miesięczne, poświęcone rolnictwu i przemysłowi, redagowane przez Włodzimirza Wolniewicza, w Poznaniu.
10. *Tygodnik kościelny*, redagowany przez ks. Jabczyńskiego i Janiszewskiego, w Poznaniu.
11. *Przyjaciel Ludu*, redakcyi ks. Fr. Wawrowskiego w Krotoszynie, wychodzi w Lesznie.
12. *Szkoła niedzielna* (pismo ludowe), wychodzi w Lesznie. W tych dniach zapowiedziała księgarnia Wojkowskich w Poznaniu, że wydawać będzie nowe pismo, pod tytułem:
13. *Dziennik handlowy*, dla miasta Poznania i prowincyi, w polskim i niemieckim języku.

upadły następujące pisma:

1. *Tygodnik literacki*, pod redakcyą A. Wojkowskiego, w Poznaniu.
2. *Orędownik Naukowy*, dto. Poplińskiego w Poznaniu.
3. *Rok*, dto. Moraczewskiego dto.
4. *Dziennik domowy* dto. Kamieńskiego dto.
5. *Przewodnik rolniczo-przemysłowy*, pod redakcyą Kolińskiego w Lesznie.
6. *Pismo dla nauczycieli ludu i ludu polskiego*, pod redakcyą A. Wojkowskiego.
7. *Archiwum teologiczne*, ks. Jabczyńskiego w Poznaniu.
8. *Gazeta Kościelna*, ks. Jabczyńskiego w Poznaniu.
9. *Obrona prawdy*, (pismo teologiczne) redagowane przez ks. Urbanowicza w Poznaniu.
10. *Lese-früchte* (pismo w niemieckim języku, poświęcone wyłącznie rzeczom Księstwa i literaturze polskiéj (redakcyi Lubarscha.
11. *Zeitung des Osten*, (dziennik polityczny, poświęcony obronie sprawy polskiéj w obec Niemców) redakcyi Sensta w Poznaniu.
12. *Tygodnik Nadobrzański* dla powiatu kościańskiego, śremskiego i okolicy w Kościanie.

II W Prusach Zachodnich wychodzą:

14. *Szkoła narodowa*, (tygodnik narodowo-polityczny) w Chełmnie.
15. *Biedaczek*, (pismo ludowe) redagowane przez Sierpa Polaczka (Preisa).
16. *Katolik*, dyecezyi chełmińskiéj, redakcyi Kręckiego, w Chełmnie.

III. W Prusach wschodnich.

17. *Kurek mazurski* (pismo demokratyczne ludowe.)

upadł

13. *Przyjaciel Ludu Łecki* (pismo ludowe, starannie redagowane przez ks. Gizewiusza, a bardzo dobre) w Łku.

IV. W Górnym Szląsku.

18. *Tygodnik katolicki*, (pismo towarzystwa maryańskiego, redakcyi ks. J. A. Fietzek,) w Piekarach.
19. *Gazeta wiejska dla Górnego Szląska* (pismo tygodniowe reakcyjne, urzędowe) w Opolu.

upadł

14. *Dziennik Górno-szląski*, w Bytomiu.

Wychodzi więc w krajach pod rządem pruskim, wraz z pismem naszém 20 pism polskich peryodycznych, a upadło w ciągu 4—5ciu lat 14.

Redaktor E. Estkowski. — Nakładem Redakcyi. — Drukiem W. Stefańskiego w Poznaniu, Ulica Podgórna Nr. 2.